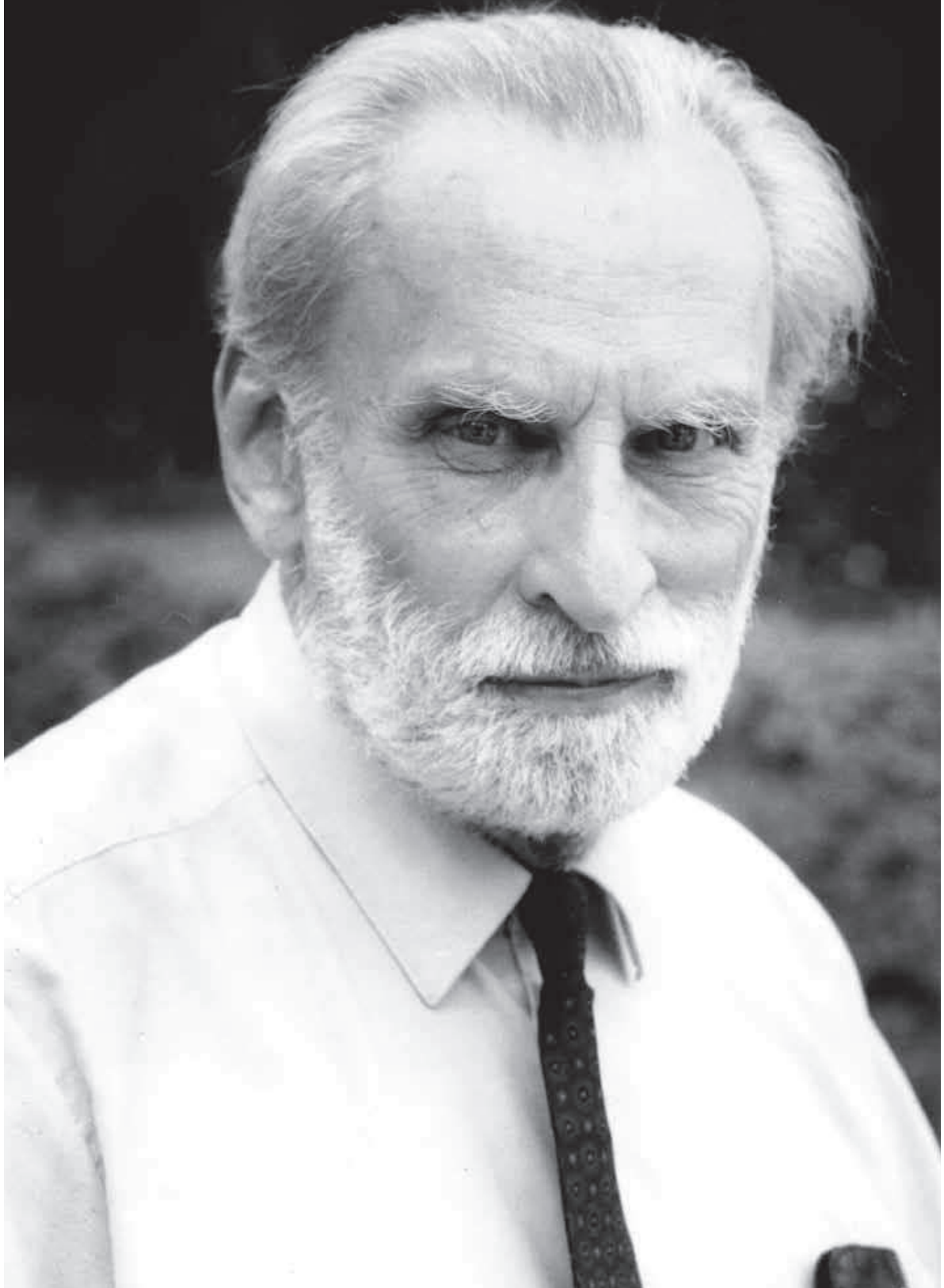


Kim był dla nas Jacek Woźniakowski?



Fotografie Elżbieta Lempp

Fragmenty wieczoru poświęconemu Jackowi Woźniakowskiemu pt. *Europejczyk z prowincji*. 23 stycznia 2013 r., Kraków – Muzeum Sztuki i Techniki Japońskiej Manggha

Dyskutowali: **Jerzy Illg** – redaktor naczelny wydawnictwa Znak, autor scenariusza, prowadzący dyskusję, **Tomasz Fiałkowski** – redaktor „Tygodnika Powszechnego” [wypowiedź nieautoryzowana], **Norman Davies** – historyk, autor wielu książek, m.in. o II wojnie światowej [wypowiedź nieautoryzowana], **Nawojka Cieślińska-Lobkowicz** – historyk i krytyk sztuki, autorka wyboru, wstępu i opracowania *Pism wybranych* Jacka Woźniakowskiego, prof. dr hab. **Jacek Purchla** – historyk sztuki, dyrektor MCK, **Adam Zagajewski** – poeta, eseista, prozaik, prof. dr hab. **Teresa Walas** – historyk literatury, krytyk literacki, profesor na Wydziale Polonistyki UJ.

W dyskusji o profesorze Jacku Woźniakowskim (1920–2012) udział też wzięli:

prof. dr hab. **Krzysztof Görlich** – były wiceprezydent Krakowa, współpracujący z prezydentem Woźniakowskim, prof. dr hab.

Lechosław Lameński – profesor KUL-u, były asystent profesora Woźniakowskiego,

Paweł Skawiński – dyrektor Tatrzańskiego Parku Narodowego.

JERZY ILLG: [...] Zanim oddam głos obecnym, scharakteryzuję Jacka słowami jego przyjaciela, który znał go przeszło 50 lat, mianowicie Stefana Kisielewskiego. Pisał on tak: „Wobec sylwetki duchowej i twórczości Jacka Woźniakowskiego czuję się dosyć bezradny. Istotnego znaczenia tej bogatej, choć często utajonej postaci nigdy w całości nie rozszyfrowałem. Może winien temu nadmiar bogactwa i różnorodności. Jacek Woźniakowski to między innymi: a) szlachcic, ułan, fasonowiec; b) demokrat, przyjaciel wszelkich pogardzanych czy ośmieszanych; c) człek chorowity, a wysportowany i wytrzymały; d) nonszalancki i uparty, a ustępliwy i serdeczny; e) czasem kostyczny i wyniosły, kiedy go przycisnąć humorysta, zdolny kpić także z siebie (aby nie z rodziny); f) znawca języków; g) podróżnik, bywalec świata, a zarazem z zamiłowania polski prowincjusz, krakauer i zakopiańczyk, mało znający Warszawę; h) pracuś, ale utajony, nadmiar zajęć wpędza go czasem w kłopoty, których istnienie ignoruje; i) zamiłowany domator, choć nigdy go nie ma w domu; j) arcyprzywiązany do czworga dzieci, które chętnie umieszcza po różnych kątach świata; k) stylistą, mało piszący, nieco rozproszony (...) może sienkiewiczowski geniusz bez teki; l) pobożniś, działacz katolicki, lubiący jednak rozważać nie bez upodobania różne herezje i podgryzania; m) autorytet, erudyta, człowiek niezwykle czynny, a w istocie niezbyt znany, unikający nadmiernego rozgłosu, unikanie takie to może również element fasonu, postawy, którą ceni sobie ponad wszystko; n) apolityczny w zainteresowaniach, zarazem w polityce bardzo nieustępliwy; o) autor dla

mnie przede wszystkim myśli i aforyzmów rozproszonych wśród mnogości cytatów wielce uczonych; moje hobby: prześliczna książka o Kanadzie oraz wnikliwy opis womitowania w Indiach. I wreszcie p) patriota bez złudzeń na temat niektórych wstydliwych kulisów polskości, ale nader wrażliwy, gdy mu nadepnąć na jakiś polsko-tradycyjny odcisk”.

Samo to wyliczenie uświadamia nam, że przedstawić tak niezwykłą i bogatą postać, to jak próbować wyczerpać ocean łyżeczką. Prosiłbym Państwa o podzielenie się z nami anegdotami, filmowymi stop-klatkami, które zaprezentują nam jakiś szczególny moment, w którym zapamiętaliście Jacka.

Ostatni ułan

TOMASZ FIAŁKOWSKI: Zacznę od krótkiego cytatu, pochodzącego z książki-rozмовy, którą przeprowadził z Krzysztofem Kozłowskim Michał Komar. Scena, o której tu będzie mowa, toczy się późną jesienią 1956 roku. Mówi Krzysztof Kozłowski: „Zaczął się od tego, że w stołówce KUL-u jadłem obiad z Jackiem Woźniakowskim, który między zupą a drugim danem zapytał, czy przyszedłbym do »Tygodnika«. Zastanowiłem się i przed zjedzeniem drugiego dania podjąłem decyzję”. Ten krótki cytat dość dobrze charakteryzuje obu panów, to znaczy ich rzeczowość i decyzyjność w trudnych momentach. Jacek Woźniakowski w »Tygodniku» debiutował w 1945 roku, a zaczął tam pracować dwa lata później, ja poznałem Jacka Woźniakowskiego dopiero w 1979 roku, gdy studiowałem historię sztuki na UJ. Powstało Towarzystwo Kursów Naukowych, Jacek Woźniakowski był jednym

z sygnatariuszy deklaracji TKN-u. Wymyśliliśmy w Kole Naukowym Historyków Sztuki, że zaprosimy z odczytami krakowskich przedstawicieli TKN, był u nas Stanisław Rodziński, poszliśmy zaprosić Jacka Woźniakowskiego, wtedy po raz pierwszy chyba przekroczyłem próg »Tygodnika Powszechnego» i po raz pierwszy wspiąłem się po tych słynnych żelaznych okrągłych schodkach, które były jedyną drogą do pokoju na piętrze, gdzie znajdowała się redakcja wydawnictwa Znak, którą wtedy kierował Jacek. Cała redakcja tam się mieściła, to był nieduży pokój podzielony szafami na dwa pseudo-pomieszczenia tak, żeby chociaż trochę było swobody dla kogoś, kto na przykład przyjmuje gościa, podczas kiedy w drugiej części tego pokoju toczy się zwykła redakcyjna praca. Jacek przyjął zaproszenie, odczyt się odbył w Collegium Maius, gdzie wtedy był Instytut Historii Sztuki, nosił tytuł *O dezinkarnacji w sztuce współczesnej*, ale bardziej nawet zapamiętałem to spotkanie, ten rodzaj uwagi, którą Jacek Woźniakowski nam poświęcił w ciągu tych 15, 20 minut. Byliśmy dosyć onieśmieleni, a on rzeczywiście miał niezwykłą zdolność zwracania całej uwagi na rozmówcę i dawania mu do zrozumienia, że jest on w danym momencie najważniejszy. Potem się z tym nastawieniem wielokrotnie spotykałem, chociaż czasami na takie spotkanie umówione się troszkę spóźniał.

Jeden jeszcze moment utkwiał mi w pamięci. W latach 80. i 90. spotykałem regularnie Jacka na Wiślniej w siedzibie Znak, potem na Kościuszki, ale zapamiętałem ten moment, tę chwilę – była to druga połowa 1982 roku – gdy w »Tygodniku Powszechnym» ukazał się esej Tomasza

Łubieńskiego o Mierosławskim, Polsce i Europie, i jak to u Łubieńskiego pisany krwią i żółcią, bardzo prowokacyjny. Esej ten potwornie zirytował Tadeusza Żychiewicza, który wprawdzie nie do końca chyba dobrze zinterpretował myśl autora, ale napisał we właściwy sobie sposób dość gwałtowną polemikę. I tu wkroczył Jacek Woźniakowski, który dyskutantem i polemistą bywał niezwykle ostrym, i rzeczywiście opublikował tekst, który był morderczy, poczynając od tytułu – *Góronos* (chodziło o postać z *Sarmatyizmu* Franciszka Zabłockiego, niezbyt inteligentnego szlachciurę, który trzyma się swojego zdania i bardzo trudno mu cokolwiek wytłumaczyć). Przyszedłem do „Tygodnika” akurat w dniu, w którym się pismo ukazało, i zastałem w pierwszym pokoju bardzo markotnego Tadeusza Żychiewicza, trzymającego w ręku ten numer, przywitałem się. „No i co, czytał Pan już ten numer?”, „Nie, jeszcze nie widziałem”, „No to niech Pan przeczyta, to się Pan dowie, kto ja jestem, Góronos, Góronos”. Opowiadam to, by pamiętać, jak Jacek bywał też ostry.

Ale gdy czytałem *Pisma wybrane*, przygotowane przez Nawojkę Cieślińską-Lobkowicz, to szczególnie uderzył mnie krótki tekst, który rozpoczyna trzeci tom, ten sam, w którym się znajduje *Góronos*, to jest taki króciutki obrazek z rubryki *Ucho igielne*, podpisywanej Kornik, z 1945 roku, opowiadający o snujących się po ulicach Krakowa żołnierzach niemieckich wracających z niewoli sowieckiej, których zwolniono, bo już było wiadomo, że niedługo umrą. Jacek Woźniakowski opowiadał o reakcjach ludzi na nich; i jest też tam piękna scena, gdzie jakiś młody człowiek robi straszną

awanturę przekupce, która dała jednemu z tych żołnierzy bułkę. Piękna, niezwykle przypowieść o miłosierdziu, przebaczeniu, aż trudno uwierzyć, gdy się pomyśli, kiedy ona została napisana, bo łatwo o miłosierdzie dzisiaj, ale parę miesięcy po zakończeniu wojny to było niezwykle.

Kilka dni temu rozmawialiśmy z Krzysztofem Kozłowskim i wspominaliśmy Jacka Woźniakowskiego, Krzysztof się zamyślił, i mówi: „No tak, popatrz, to może ostatni ułan umarł”. Najpierw myślałem, że to metafora, a Krzysztof z właściwą sobie rzeczowością mówi: „Przecież to był ostatni rocznik podchorążówki w Grudziądzu i pewnie z tego rocznika nikt już nie żyje”. Więc rzeczywiście ostatni ułan umarł.

Private gentleman

JERZY ILLG: Nawojka Lobkowicz w swoim wstępie do *Pism wybranych* przytacza cytat, który mnie także wpadł w oko, mianowicie Jacek Woźniakowski pisze o wspaniałym znawcy włoskiego renesansu Bernardzie Berensonie: „Napisał kiedyś Wells, że nieodzowny dla życia kultury jest *private gentleman*: to znaczy taki typ człowieka, który ani się nie poświęca bez reszty organizowaniu wymian i kontaktów naukowych lub artystycznych, ani z wartości kultury nie robi biznesu, ani nie zamyka się w zawodowym humanizmie, produkując rok w rok tyle a tyle tomów lub wygłaszając tyle a tyle wykładów. *Private gentleman* jest człowiekiem kulturalnym, bo tak mu się podoba”. Myślę, że to wspaniała definicja samego Jacka Woźniakowskiego.

NAWOJKA CIEŚLIŃSKA-LOBKOWICZ: Jurek prosił o stop-klatki. Opowiem naj-

ROZMOWA

pierw o spotkaniu z wówczas jeszcze docentem Jackiem Woźniakowskim. To była pierwsza połowa lat 70., byłam studentką prof. Jana Białostockiego, zostałam zaproszona na ekskluzywne seminarium, odbywające się w Nieborowie, poświęcone słowu i obrazowi. Tuż po przyjeździe całe grono wytrawnych historyków sztuki rzuciło się do jedynego telewizora znajdującego się w oficynie pałacu, aby obejrzeć mecz Polska-Anglia albo Polska-Niemcy. Tylko mój pryncypał, Jacek Woźniakowski, i ja zostaliśmy na placu boju, a dokładniej w bibliotece Radziwiłłowskiej. Kiedy docent Woźniakowski zorientował się, że poza profesorem Białostockim, Jankiem, z którym był wyraźnie zaprzyjaźniony, i jego studentką nikogo więcej nie ma, rzucił konspiracyjnie: „To ja coś zaraz przyniosę, bo właśnie przyjechałem z Kanady”, i przyszedł za chwilę z bourbon whisky. Głęboki komunizm, ja wcześniej w życiu chyba w ogóle nie piłam whisky, a co dopiero bourbona. Pałacowa biblioteka, piękne nieborowskie wnętrza, więc pić z plastikowych kubków do mycia zębów nie uchodzi, toteż obydwaj panowie postanowili, że powinnam się postarać o jakieś stosowniejsze przybory. Poszłam na dół do kredensu: wszystko wypolerowane czyściutko i pozamykane, ale jedną szafkę dało się otworzyć. Znalazłam w niej kompotierki szklane i powędrowałam z nimi tryumfalnie do biblioteki, co wywołało stosowne pochwały obu panów. Ale tak bez jedzenia? Więc ponownie zostałam wysłana na dół, zaczęłam tym razem myszkować po kuchni, też lśniącej czystością, ale bez najmniejszych śladów jedzenia. Nagle widzę, że na kaloryferach wisi w gazie obciekający

twaróg domowej roboty. Wracam na górę i mówię: „Jest twaróg, ale sama kraść nie będę”. Na co docent Woźniakowski stanowczo: „Idziemy”. Zeszliśmy na dół, obcieliśmy twaróg scyzorykiem szwajcarskim, który jak się okazało Jacek Woźniakowski miał zawsze przy sobie. I tak wypiliśmy bourbona, zagryzając twarogiem. Opowiadania obydwu panów były nadzwyczajne. Gdy skończyliśmy, przyszli nasi subtelni historycznosztuczni kole-dzy; okazało się, że mecz został przegrany, a im przyszło pić wyłącznie wino patykkiem pisane. Następnego dnia na sesji docent Woźniakowski miał referat poświęcony arabesce i temu, co go zawsze interesowało, to znaczy korespondencji sztuk, pokrewieństwu literatury, malarstwa, szkicu, rysunku. Świetny i metodologicznie swobodny, alternatywny wobec badań ikonograficznych Białostockiego. Ale ten wieczór, może ze względu na whisky, sprawił, że obydwaj sposoby myślenia o sztuce do dnia dzisiejszego wydają mi się bliskie.

Druga scena to faktycznie stop-klatka, w bardzo szczególnym momencie historii naszego kraju, mianowicie 13 grudnia 1981 roku. Kongres Kultury Polskiej w warszawskim Teatrze Dramatycznym. Wśród wielu jego wybitnych uczestników i Jacek Woźniakowski. Ale nie był w najlepszej formie, wrócił z Leuven, miał jakieś poważne kłopoty zdrowotne, był rzeczywiście nieswój. Pierwszy dzień Kongresu, 12 grudnia, skończył się późno wieczorem, następnego dnia rano Kongres został zawieszony, ponieważ wprowadzono stan wojenny. Sporo uczestników Kongresu spotkało się rano przed drzwiami Teatru Dramatycznego. Natychmiast

zapanował duch konspiracji, rozpełzliśmy się szybko w cztery miejsca na linii Krakowskiego Przedmieścia, czyli Stowarzyszenie Historii Sztuki na Rynku Starego Miasta, kościół św. Anny, siedziba Związku Literatów Polskich naprzeciwko i Stowarzyszenie Dziennikarzy Polskich na Foksal. Wyłączone telefony, więc młodsze osoby, w tym także ja, były używane jako biegający tu i tam gońcy. I teraz ta stop-klatka, którą sobie przypomniałam kilka dni temu, idąc Krakowskim Przedmieściem, które wyglądało tak, jak tamtego 13 grudnia – mróz, słoneczny dzień, biało, srebrzysta poświata na świeżym śniegu. Szłam ze Związku Literatów do SDP na Foksal. Mniej więcej na wysokości pomnika Mickiewicza zobaczyłam patrol w rogatywkach, oficerkach, z bagnietami postawionymi na sztorc. Szli kilkadziesiąt metrów przede mną. I nagle w słońcu zobaczyłam, że naprzeciwko tej dwójki żołnierzy idzie Jacek Woźniakowski. Szedł wyprężony jak struna, zmęczenie z poprzedniego dnia minęło bez śladu. Pruł naprzeciw tego patrolu bez cienia wahania i ci żołnierze musieli się przed nim rozstąpić. To jest moja stop-klatka z Jackiem. [...]

JERZY ILLG: Jego poczucie wolności było w tamtych latach czymś szokującym, zwłaszcza dla przedstawicieli władz, którzy mieli z nim czasem do czynienia. Wielkie wrażenie zrobiła na mnie lektura w *Pismach wybranych* przemówień Jacka Woźniakowskiego na osławionym zjeździe Związku Literatów Polskich w Katowicach 1978 roku, gdzie doszło do konfrontacji środowiska pisarzy z władzą. Myślę, że partyjni oficjele z trudem wysłuchiwali stanowiska wolnego człowieka, któ-



Jerzy Illg

ry im wypominał ingerencje cenzury, obcinanie papieru, szykany wobec „Tygodnika Powszechnego”. Uderzyło mnie takie cudowne zdanie, w którym mówi, że szykany polegają na tym, żeby uniemożliwić szykanowanemu człowiekowi wkład w kulturę. Mówił, że w jubileuszowym numerze „Znaku” na czterdziestolecie wybuchu wojny z niemal 200 stron skonfiskowano 104. I rąbał to wszystko, i jeszcze dziś jak się to czyta, ma się wrażenie haustu świeżego powietrza, a można sobie wyobrazić, czym była wtedy taka postawa, wyprostowana wśród tych, co na kolanach. Upominał się o aresztowanych wtedy Václava Havla, Pavla Kohouta, to było w tamtym czasie czymś niesłychanym. To był klimat czasów, w których powstał Uniwersytet Latający i Towarzystwo

ROZMOWA

Kursów Naukowych, Jacek Woźniakowski był jednym z jego współzałożycieli, i w tych czasach współpracował z Adamem Zagajewskim.

ADAM ZAGAJEWSKI: Młodszy ludzie nie znają tamtego świata, a w nim było niewielu ludzi, którzy szli przez życie wyprostowani. W tych latach poznałem kilka osób, które mi niesłychanie zaimponowały, jedną z nich był Adam Michnik, którego spotkałem w 1973 roku, który po prostu śmiał się ze wszystkiego i mówił bardzo głośno w kawiarni – mówił głośno o rzeczach, o których inni tylko szepotali. A potem Jacek Woźniakowski, którego też poznałem w pierwszej połowie lat 70. Oni byli zupełnie inni, z innych pokoleń, innych formacji, ale łączyła ich właśnie ta niesłychana wolność wewnętrzna i wielka inteligencja. (Oczywiście, byli i inni odważni, nie tylko ci dwaj...). Jacek Woźniakowski nie należał do antykomunistów, którzy po prostu potępiali, próbowali zrozumieć – jak oni myślą, o co im chodzi? Był taki okres, kiedy mówił, że wszystko, co robią komuniści, jest arbitralne, nie ma żadnego uzasadnienia, nie bierze się z analizy rzeczywistości. Na ogół wszyscy narzekali i potępiali, szydzili. On także potępiał i szydził, ale jednocześnie próbował zrozumieć.

Jeśli chodzi o Towarzystwo Kursów Naukowych, mieliśmy zabawną przygodę. Kiedyś zimą jechaliśmy razem do Warszawy, garbusem, który musiał być dumą rodziny, o którym pamiętam, że Woźniakowski opowiadał, że kupił go za nagrodę Jurzykowskiego. Mieliśmy sporo czasu i gdzieś w połowie drogi Jacek mówi, że zjedziemy w polną dróżkę i zjemy drugie śniadanie. Miał prowiant, zapewne

przygotowany przez panią Maję, i termos z herbatą. Zjedliśmy drugie śniadanie i Jacek chciał zawrócić – ale samochód utonął w śniegu. Groza, bo byliśmy delegatami Krakowa, los kraju zależał od naszego punktualnego przybycia, wspinali warszawscy intelektualiści czekali na nas, a samochód ugrzązł w zaspie. Ani inteligencja, ani wolność wewnętrzna nic nie pomogły. Ale na szczęście po chwili na drodze pojawił się barczysty chłop, który przeniósł czy przesunął garbusa o parę metrów, i potem bez trudu dojechaliśmy do Warszawy i zdążyliśmy. Wtedy zrozumiałem, że sojusz inteligencji z ludem jest niezbędny, zwłaszcza w zimie.

Wiele tak zwanych stop-klatek pojawia mi się, gdy myślę o Jacku Woźniakowskim. Na przykład jego pobytu w Paryżu w latach 80. Widzieliśmy się parokrotnie, olśniewał wszystkich znajomością francuskiego. Z Jurkiem [Illgiem] spieramy się, czyje to jest wspomnienie – na otwarciu imprezy *Les Belles Étrangères*, to już w latach 90., przemawiał ówczesny minister kultury Jack Lang i Jacek Woźniakowski, i Francuzi potem komentowali: „Ach, gdyby nasz minister tak potrafił mówić po francusku jak Jacek Woźniakowski”.

Chodziłem często do Józefa Czapskiego, to była rodzina, przyjaźnili się, bardzo dobrze się znali, ale Czapski mówił nieraz: „Czemu ten Jacek tak podróżuje, czemu on się nie skupi”. Ktoś ośmiela się skrytykować Jacka Woźniakowskiego! Tylko Józef Czapski: „Po co on jeździ na te konferencje, ja wiem, że on tam olśniewa wszystkich, ale niech on naprzód książkę skończy”.

A zakończę obrazkiem całkiem już anegdotycznym. Jacek Woźniakowski w audytorium Luwru miał odczyt o sztuce

polskiej, oczywiście po francusku. Była duża publiczność, mówił znakomicie, ale w pewnym momencie wypadło mu z pamięci jedno słowo po francusku, mianowicie „tarcza”. Zwrócił się do publiczności po polsku: „Przypomnijcie mi proszę, jak jest tarcza”, i sala chóralnym głosem powiedziała „bouclier”.

To było zakończenie mówione – ale naprawdę chciałbym zakończyć inaczej, wrócić do tonacji serio: Jacek Woźniakowski był kimś niezwykłym. Był człowiekiem poważnym, lecz mającym też świetne poczucie humoru, człowiekiem uczciwym, przyjaznym wobec innych. Był dżentelmenem. Więcej: był rycerzem. Nie dążył do zniszczenia przeciwnika; pamiętam, jak podkreślał, w czasach ostrej walki politycznej, gdy rodził się potężny od początku swego istnienia ruch opozycyjny, że po drugiej stronie mamy do czynienia z przeciwnikiem właśnie, a nie z wrogiem. Był bowiem chrześcijaninem, prawdziwym, a nie tylko nominalnym.

Boże igrzysko

NORMAN DAVIES: Poznałem Jacka Woźniakowskiego w 1983 roku, zaprosił mnie listownie do spotkania na Wiślną. Byłem zupełnie nieznanym w Polsce autorem, wszystkie moje książki były zakazane w Polsce, nie było żadnych recenzji czy komentarzy, ale byłem dosyć znany już na świecie. W 1983 roku przyjechałem do Krakowa z Chin, gdzie *Boże igrzysko* było znane, a w tym samym roku ambasador brytyjski zorganizował spotkanie autorskie w ambasadzie w Warszawie, czyli na terytorium brytyjskim. Spotkanie było prześmieszne, ponieważ zaprosił sześćdziesięciu historyków na rozmowę

na temat *Bożego igrzyska*, ale ani jeden z nich tej książki nie czytał. Na stole czekało 60 egzemplarzy i pamiętam, że wszyscy patrzyli na ten stos książek, czekając na moment, kiedy każdy dostanie egzemplarz. Nie pamiętam, czy Jacek Woźniakowski tam był, myślę, że nie, ale na pewno po tym spotkaniu w ambasadzie parę egzemplarzy przyszło do Krakowa i wtedy pewnie zapoznał się z tą książką. Młodym ludziom powinienem powiedzieć, jaka to była groźna sytuacja: nie tylko nie wolno było przywieźć mojej książki do Polski, ale były dosyć poważne kary za same próby przywiezienia. Wiem, że paru ludzi nawet siedziało w więzieniu za różne przestępstwa związane ze mną, na przykład pierwsze próby przetłumaczenia. Jeden odważny człowiek, parę lat później, w 1986 czy 1987 roku, poszedł do sądu po wyjaśnienie, dlaczego odebrano mu *Boże igrzysko* na granicy. Polski sąd dosyć uczciwie wyjaśnił tę sprawę: „Ta książka jest nieprzychylna interesom ZSRR”. W takiej atmosferze Jacek Woźniakowski zaprosił autora takiej książki do małego pokoju na Wiślniej na rozmowę o przetłumaczeniu jej na język polski.

Moje wydawnictwo ówczesne, Oxford University Press, było przeogromne, ich pałac niewiele mniejszy niż zamek wawelski, setki pracowników, setki lat istnienia, wielkie pieniądze, bo wydawali przez 400 lat angielski tekst Biblii. Oczywiście autorzy nie korzystali z tych bogactw, ale dla mnie pójść do wydawców to było, jak wejść do pałacu. Tymczasem w Krakowie idę na ulicę Wiślną, pokazują mi jakieś schody, które idą do góry i na samej górze pod dachem jeden pokój, jedna pani siedziała i pisała na maszynie, a Jacek

ROZMOWA

Woźniakowski złożył mi szokującą propozycję, by tę książkę przetłumaczyć „do szuflady”. Wtedy też poznałem ten termin, pierwszy raz usłyszałem: „do szuflady”. Jeśli pamiętacie rok 1983, 1984 – to nie był czas nadziei i wiary, że ten system odejdzie – przeciwnie, po okresie Solidarności, gdy były wielkie nadzieje, nastąpiła katastrofa, złamane nadzieje, i wyglądało na to, że ta książka będzie leżała w szufladzie do końca wieku, jeśli nie dłużej. I mimo tego szalona decyzja Jacka Woźniakowskiego, żeby ją tłumaczyć. To był akt wielkiej odwagi. Ta odwaga pochodzi z tego, o czym powiedział Adam [Zagajewski] – z wolności wewnętrznej. Woźniakowski zorganizował wtedy konkurs na młodych kandydatów do przetłumaczenia. Same młode kobiety – chyba że zauważyłem tylko młode kobiety – każda przygotowała kawałek tłumaczenia; przeczytałem i wybraliśmy panią doktor, a teraz profesor, Elżbietę Tabakowską, która nadal jest moim głównym tłumaczem.

Redaktor Woźniakowski musiał co roku wysyłać do ministerstwa tak zwany plan wydawniczy do aprobaty i rokrocznie wkładał do tego planu *Boże igrzysko* i rokrocznie ministerstwo ten tytuł wykreślało. I nagle w 1989 roku telefon z Warszawy do Jacka Woźniakowskiego z prośbą, żeby jednak przetłumaczyć i wydać tę książkę. Z wielką radością powiedział wtedy, że książka jest już przetłumaczona i czeka. Zanim książka wyszła, na początku tylko jeden tom, Jacek mi opowiadał, że cenzura zgodziła się na tekst, ale musiała też zaakceptować książkę ambasada sowiecka. Czekaaliśmy na werdykt ambasady sowieckiej,

który był następujący: wszystko można wydać z pierwszego tomu, wstęp, gdzie są ostre słowa o marksizmie i o Związku Radzieckim też, ale koniecznie trzeba wyjąć dwie strony o Iwanie Groźnym. I to bardzo dużo mówi o nowej Rosji. Można źle mówić nawet o Leninie, ale proszę nie dotykać Iwana Groźnego.

Jacka Woźniakowskiego cechowała wysoka kultura osobista i naukowa – dobrze pamiętam jego wykład w Londynie o górach i literaturze. Świetnie mówił po angielsku. Powoli, z wahaniem, ale potrafił jak żaden Polak wymawiać te wszystkie głoski angielskie, miał dobry słuch do języka i do ludzi. Miał przemyśły sposób bycia, trochę w stylu dżentelmena angielskiego, a jednak był trochę zagadką – miał tak łagodny sposób bycia, że nie zawsze było widać, jak stalowy, mocny charakter miał w środku.

Jacek Woźniakowski był odważnym człowiekiem i za to ja, i pewnie wielu ludzi, jesteśmy mu wdzięczni.

JERZY ILLG: Dodam parę słów do historii *Bożego igrzyska*, bo miałem kiedyś wątpliwą przyjemność zastąpienia Jacka Woźniakowskiego na spotkaniu w Głównym Urzędzie Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk, gdzie mowa była o *Bożym igrzysku*, i cenzor mówił: „Ale wie Pan, ten Davies jest strasznym rusofobem, on żadnej okazji nie przepuści, nawet gdy pisze o Iwanie Groźnym, to musi pisać o okrucieństwie, despotyzmie i tak dalej, nie możemy tego puścić”. Na co mówię: „W pluralistycznym modelu kultury, na którym nam wszak obu zależy, właściwą metodą jest polemika, a nie nożyczki, i niech nasi historycy polemizują z Daviesem, jeżeli się nie zgadzają

z taką wizją”. W efekcie stanęło na kuriozalnym rozwiązaniu, mianowicie dostaliśmy zgodę na wydanie pierwszego tomu *Bożego igrzyska* pod warunkiem podpisania oświadczenia, że nie będziemy próbować wydawać tomu II. Jakoś to zredagowaliśmy odpowiednio i oczywiście natychmiast jak tylko się mógł ukazać, tom II wydaliśmy.

W jednym z wywiadów Jacek Woźniakowski zapytany o to, którą ze swoich ról rozlicznych ceni najbardziej, którą uważa za najważniejszą, kim jest we własnych oczach, powiedział: „jestem wydawcą”. Jego dzieckiem ukochanym było wydawnictwo Znak, którego był twórcą i którym przez ponad 30 lat kierował. Przypadło mi w udziale zastąpienie Jacka Woźniakowskiego na fotelu naczelnego redaktora, powiem więc, kim był dla mnie. Był moim ukochanym szefem, człowiekiem, który podał mi rękę w okresie dla mnie życiowo bardzo trudnym. Takie gesty są nie do przecenienia. Ale najważniejsze było dla mnie to, że z tak wspaniałym człowiekiem mogłem obcować na co dzień, mogłem z nim współpracować, mogłem się od niego uczyć. Miałem oczywiście świadomość, że nie jest dostępny nam, jego następcom, jego format intelektualny, jego ogromna erudycja, przynależność do elity wielkich Europejczyków, którzy swobodnie czują się nie tylko w angielszczyźnie, ale właściwie w każdym z języków europejskich. Tę swoją klasę, arystokratyczną elegancję, Jacek łączył z ogromną bezpośredniością, serdecznością, otwartością na ludzi, niezłomność zasad łączył z poczuciem humoru, świadomość własnej wartości ze skromnością i dystansem do siebie – które pozwoliło mu w wieku 80

lat wystąpić w kabarecie Znak w stroju żebraczym i brawurowo wykonać pieśń dziada proszalnego.

Tej wspaniałości naturalnie nie sposób się było nauczyć, można ją było jedynie podziwiać i starać się nieudolnie naśladować. To, że miałem zaszczyt go znać i cieszyć się jego zaufaniem, to jedna z najcenniejszych rzeczy, jaka spotkała mnie w życiu. Ogromnym zobowiązaniem jest dla mnie to, że mogę przyczynić się do kontynuowania jego dzieła. W trudnych chwilach, przed którymi staję wydawca, kiedy trzeba podjąć odważne decyzje czy przeciwstawić się opiniom, z którymi wierność własnym przekonaniom nie pozwala się zgodzić (jak choćby rozstrzygane we własnym sumieniu decyzje dotyczące publikacji książek Grossa, Domosławskiego i wiele innych), pytam siebie zawsze: co powiedziałby, jak postąpiłby Jacek? On jest dla mnie wtedy busolą, drogowskazem. To wielkie szczęście mieć takiego Mistrza. Takim Mistrzem i drogowskazem pozostanie dla mnie i teraz, kiedy nie będzie Go wśród nas. [...]

Otwieranie Krakowa na świat

JACEK PURCHLA: Jerzy Illg zadał nam w scenariuszu tego dzisiejszego wieczoru kilka pytań, a tym pierwszym, fundamentalnym jest, na ile Jacek Woźniakowski zmienił nasze życie. Moja pierwsza stop-klatka jest dowodem na to, że wywrócił moje życie do góry nogami, co moja żona, obecna na sali, mogłaby łatwo potwierdzić. Dworek Łowczego (ulica Kościuszki), dokładnie 11 czerwca 1990, poniedziałek. Poszedłem na kolejne spotkanie z Jackiem Woźniakowskim jako

ROZMOWA

autor, który wydawał w Znaku kolejną książkę na temat rozwoju Krakowa w XIX i XX wieku, ale Jacek Woźniakowski niekoniecznie o książce chciał rozmawiać, popatrzył charakterystycznym wzrokiem na żyrandol, skomentował to teatralnym gestem i powiedział: „Lepiej wyjdźmy na taras”. Dworek Łowczego wówczas się remontował, co dobrze zapamiętałem, bo dzień był gorący i śmierdziało smołą, ponieważ taras był właśnie smołowany. I tam zwierzył mi się, że namawiają go, żeby został prezydentem Krakowa, i spytał: „Czy Pan nie zechciałby być wiceprezydentem?”. Akurat dzień wcześniej wróciłem z Niemiec, miałem wyjechać na stypendium Humboldta, więc z ostrożności procesowej powiedziałem: „Proszę o dwa tygodnie namysłu”. Jackowi Woźniakowskiemu trudno było przecież odmówić. Dwa dni później przeczytałem w gazecie, że jestem kandydatem prezydenta Woźniakowskiego na wiceprezydenta. W ten sposób Jacek Woźniakowski zaskoczył mnie po raz pierwszy, ale nie ostatni. Już niedługo później w Urzędzie Miasta razem zajmowaliśmy się otwieraniem Krakowa na świat. To otwieranie odbywało się – zwłaszcza w roku 1990 – pod hasłem KBWE, tego pierwszego wielkiego spotkania Wschodu i Zachodu po upadku żelaznej kurtyny w paragrafie kultura, którego gospodarzem miał być Kraków na przełomie maja i czerwca 1991 roku.

Kadr drugi to 25 października 1990 roku, piątek, godzina 11.00, wchodzimy z Jackiem Woźniakowskim do budynku, który się wówczas nazywał Urząd Rady Ministrów, do gabinetu Tadeusza Mazowieckiego. To szczyt wojny na górze, ale premier ma dla nas dużo czasu na długą

rozmowę na temat KBWE i MCK, bo tego dnia ustaliliśmy, że na szczycie paryskim, na którym się miały ważyć losy Europy i Polski, gdyż Niemcy miały się zgodzić ostatecznie na granicę na Odrze i Nysie, Tadeusz Mazowiecki w swoim przemówieniu między innymi skomentuje polskie przygotowania do szczytu krakowskiego, i po raz pierwszy oficjalnie nazwę MCK – zresztą zmienioną na prośbę dyplomatów amerykańskich z Centrum Kultury Europejskiej na Międzynarodowe Centrum Kultury – użyje. W ciągu ponad 20 lat naszej demokracji to była niezwykła sytuacja tego miasta, w której prezydent Krakowa wchodził bez pukania do premiera państwa! *Notabene* chwilę wcześniej, bo 14 października w niedzielę Tadeusz Mazowiecki jako prywatny człowiek przyjechał do Krakowa, żeby rozpocząć tu swoją kampanię prezydencką, i zaczął ją od herbatki w salonie państwa Woźniakowskich, co dobrze pamiętam, bo potem szliśmy oglądać Teatr Słowackiego. Takie były czasy – instytucja kultury, która miała być narzędziem polskiej obecności w świecie, w nowej Europie, była w sposób oczywisty przez premiera rządu łączona z Krakowem, a sam proces inkubacji był wspólnym dziełem rządu i samorządu. To było wspaniałe!

Trzeci kadr – 9 stycznia 1991, środa, na dwa dni przed odwołaniem Jacka Woźniakowskiego. Jest rzeczywiście w piekielnej tłoczni, ale wcale się nie spodziewa, że 11 stycznia przestaniemy współpracować. Idziemy wieczorem z ulicy Pijarskiej do pana wojewody. Pan wojewoda Piekarczyk zaprosił nas na ulicę Basztową na trudne rozmowy o sprawach tworzenia majątku komunalnego, przekazywania



Prof. Teresa Walas

miastu przez Skarb Państwa różnych nieruchomości, w tym jednego, czyli budynku przy Rynku Głównym 25, ponieważ Tadeusz Mazowiecki postawił Krakowowi warunek, że władze miasta, wojewódzkie i miejskie mają dla MCK jako nowej instytucji rządowej stosowny adres przygotować. Nie jest żadną tajemnicą, że pan wojewoda nie był rychliwy w przekazywaniu samorządowi majątku. Przyjął nas w swoim gabinecie. Myśmy byli we dwójkę, jako delegacja stołecznego królewskiego miasta. Tymczasem pan wojewoda przyjął nas w całym swoim majestacie, ze wszystkimi dyrektorami, było ich ze dwudziestu, i bardzo pryncypialnie do nas przemówił. I to jest pointa, bo Jacek Woźniakowski absolutnie mi wtedy zaimponował. Na wątpliwości wojewody, mimo że dokumenty były wcześniej uzgodnione, powiedział z grubsza tak: „Panie

wojewodo, jeśli pan chce się targować, to tutaj obok jest Plac Kleparski, ale ja przychodzę jako prezydent Krakowa w imieniu obywateli tego miasta, podpisujemy albo wychodzę”. I na takie *dictum* – podpisaliśmy, a potem bardzo chętnie wojewodę Tadeusza Piekarza przy Rynku 25 gościliśmy.

Prawość pełna uroku

TERESA WALAS: Zgodnie z sugestią Jerzego Illga zacznę od anegdoty. Rzecz ma miejsce podczas jednej z kolacyjek wydawanych przez Wisławę Szymborską; jest sporo gości, wśród nich Jacek Woźniakowski. Jak zwykle toczy się niezobowiązująca konwersacja, która, również – jak zwykle – przechodzi niepostrzeżenie w poważną rozmowę. Dotyczy ona roli kłamstwa w życiu człowieka. Rzecz jasna wszyscy generalnie kłamstwo potępiają, ale poja-

wiają się rozmaitego rodzaju wyjątki. Na przykład kłamstwo dyplomatyczne, które – jak *maladie diplomatique* – nikogo nie krzywdzi, a ułatwia życie. W pewnym momencie odzywa się Jacek Woźniakowski i przecina dość bezwzględnie nasze dywagacje: „U nas w domu mówiło się, że kłamać nie wolno nawet w najdrobniejszych sprawach, i tegośmy się trzymali”. Gospodyni jest mocno speszona, ponieważ jedną z jej słabości było doprowadzone do wirtuozerii kłamstwo-wykręt, za którego pomocą broniła się przed ludzkim natręctwem i starała się utrzymywać swoją czasową niezawisłość, mówiąc na przykład, że wyjeżdża w piątek, kiedy wyjeżdżała w przyszły wtorek, lub wymyślając najście fińskiego dziennikarza, by uniknąć nudnej wizyty itd. Toteż lekko się kokosząc, co było znakiem wytrącenia z równowagi, próbowała negocjować sprawę kłamstwa: „Ale drogi Jacku, przecież zdarzają się czasami sytuacje, w której człowiek musi się bronić przed bliźniemi, żeby go nie zjedli”. Jacek jednak surowo odpowiada: „Nie, nie ma takich sytuacji, w każdych okolicznościach należy mówić prawdę”. Zapanowała konsternacja. Wisława bierze głęboki oddech i widać, że gorączkowo szuka argumentu, wreszcie mówi: „No, ale wyobraź sobie, że Twoją mamę na przykład boli głowa, a tu przychodzi jakiś potwornie nudny sąsiad i koniecznie chce jej złożyć wizytę. Czy nie mówiło się, że mamy nie ma w domu?”. Na co Jacek spokojnie odpowiada: „Nie. Wychodził służący i mówił »Pani nie przyjmuje«”. Zaśmialiśmy i pochopnie wyciągnęliśmy z tej historii morał, że posiadanie służby ułatwia prawdomówność.

Niemniej, gdy głębiej się w tę historię wmyślałam, uznałam, że dobrze ukazuje ona cechę Jacka, którą można by określać jako emblematyczną. Zapewne dzielił ją z wieloma osobami z własnego kręgu, ale w jego postaci znalazła ona niesłychanie czystą, krystaliczną formę. To coś, co bym określiła jako naturalność i nienegocjowalność cnót moralnych. Zdumiewające było dla mnie nawet nie samo cnoty posiadanie, ale przede wszystkim fakt, że potrafił on je praktykować, i to praktykować w świecie głęboko cnotom tym niesprzyjającym. Wśród moich znajomych, także wśród moich bliskich, wielu było ludzi prawych, ale w większości udawało im się tę prawość zachować za cenę rezygnacji, za cenę wycofania się z życia. W przypadku Jacka Woźniakowskiego było przeciwnie: był człowiekiem czynu, podejmował i wykonywał liczne role społeczne, cały czas zderzał się z rzeczywistością, która mu generalnie nie sprzyjała i powinna była właściwie go zniszczyć. A tymczasem działo się zgoła inaczej.

I gdy przypominam sobie tę historyjkę, myślę o człowieku, który tak został wychowany, że w najdrobniejszych sprawach nie mógł kłamać; i nie kłamał, a przyszło mu żyć i działać w rzeczywistości, w dużej mierze opartej na kłamstwie i posługującej się nim jako orężem. O człowieku, który w tej rzeczywistości nie tylko zachował siebie, ale także zwycięsko wychodził z licznych potyczek i wygrywał z nią. I widzę fenomenem zdumiewający, którego istnienie wydawało nam się czymś naturalnym, bo przyzwyczailiśmy się, że Jacek Woźniakowski po prostu taki był. A tymczasem jego widok powinien był



Henryk Woźniakowski

Fotografie Kamila Lipowska (s. 53, 59, 61)

nam zapierać dech w piersiach. Bo ten rodzaj jakości moralnej był czymś niezwykłym. Więc może powinniśmy się od niego oddalić, wytworzyć dystans w stosunku do jego postaci, żeby ją zobaczyć w lepszym świetle, w pełniejszym horyzoncie. Ten zapierający dech w piersiach widok powinien zostać uwieczniony poematem heroicznym, bo takie *Iliady* były naszymi iliadami. Użyłam słowa „poemat” nieprzypadkowo, ponieważ w osobie Jacka Woźniakowskiego nie tylko walor moralny był istotny; istotny był także walor estetyczny. Cnoty moralne przywykliśmy zazwyczaj wiązać ze skautingiem, przypisywać je starszym paniom w grubych, lekko zrolowanych pończochach;

tymczasem Jacek Woźniakowski przywrócił cnotom moralnym męski seksapil, połączył je z urokiem osobistym, wspinała inteligencją, niezwykłym humorem, autoironią.

Na pytanie więc postawione przez Jurka Illga: kim był dla nas Jacek Woźniakowski, odpowiedziałabym tak: był dla mnie wieloma postaciami, ale wśród tych postaci wybrałabym przede wszystkim dwie. Był wcieleniem mądrości niezwykle otwartej na dialog i był wcieleniem pełnej uroku prawości.

Wybór Teresa Walas i Jerzy Illg
Dyskusję spisał Jacek Błach
Redakcja Bogdan Rogatko